



CEZARY HARASIMOWICZ

AWANTURY
I PRZYGODY



REGINY

SALOMEI

PILSZTYNOWEJ

Powieść o pierwszej
polskiej lekarce.
Czupurna i dowcipna
jak sama bohaterka!



LIRA
WYDAWNICTWO



AWANTURY
I PRZYGODY
REGINY
SALOMEI
PILSZTYNOWEJ

CEZARY HARASIMOWICZ

AWANTURY
I PRZYGODY
REGINY
SALOMEI
PILSZTYNOWEJ

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-72-2

*Podaję to zebranie moich awantur do uwagi
ludzkiej. Kto je słuchać będzie, niech uważa,
jak w wielu byłam niebezpieczeństwach
życia i jak wiele razy fortuna mnie bogaciła,
i nazbyt zubożała. Niech zrozumie, czy miałam
ja, białogłowa, co dobrego od losu i jak się,
walcząc, z nim zmagalam.**

TAKIE OTO MOJE NARODZINY

Podobno jakem się urodziła, to nad Nowogródkiem zawisła czapa chmur. Podobno z tej czapy runęły gromy na miasto i okolicę. Podobno moja matka krzyczała z bólu wniebogłosy, złorzecząc Panu Bogu, ale babka akuszerska wetknęła jej pakułkę w zęby i podobno rzekła:

— Nie krzyczcie, pani Rusiecka, bo nie uchodzi. Macie za swoje, pani Rusiecka. Bóg i tak nie usłyszysz, bo ma ucho krzywo na was nastawione. Chcecie pytać, pani Rusiecka, dlaczego Pan Bóg ma coś do was? Ano, bo On nie wie, czy wy, pani Rusiecka, wygrażacie jeszcze żydowskiemu Jahwe czy już chrześcijańskiemu Stwórcy. Pobętało się w głowie Panu Bogu, boście przechrzta. No już, gęba w kubeł i przyjcie, pani Rusiecka.

Matka moja wypluła knebel z ust i wypluła z nich przekleństwo:

— *Zunh!...*

A potem wypluła mnie na świat.

I tak oto w roku Pańskim 1718 znalazłam się na tym Bożym padole w akompaniamencie żydowskiego przekleństwa, gromowładnego chóru, huku burzy miotanej nad Nowogródkiem i okolicą przez

* [Dotyczy poprzedniej strony:] Parafraza z *Procederu podróży i życia mego awantur* Reginy Salomei z Rusieckich Pilsztynowej, motta kolejnych rozdziałów są kreacją autora.

Wszchemocnego. Widać już od pierwszych chwil mojego istnienia zgroza wpiła się w mą duszę, co miało być przepowiednią, prorocstwem danym na cały mój żywot. Ale nie skarzę się. Nie ma we mnie ni joty żalu. Los jest nie po to dany kobiecie, by ją kamieniem przynieść do ziemi, ale by ten kamień z ramion zrzucić.

Podobno zaraz po urodzeniu wrzeszczałam na całą chatę tak okropnie, że mój ojciec, Joachim Rusiecki, omal nie oszalał. Podobno zatykał sobie palcami uszy, podobno tłukł głową o ścianę, podobno jęczał i utyskiwał, że mu na świat córka przyszła, a nie syn, podobno chciał zdzielić w pysk babkę akuszerską, bo podobno było tak:

— Co robicie, Janowa?

— Chrzcę.

Bo Janowa już się brała do ochrzczenia mnie z wody. Już moczyła palce w wilgoci, już mi robiła krzyżyk na czole, by moją świeżą duszę oddać Panu Jezusowi. Na to podobno mój ojciec Joachim, przytrzymawszy mokrą dłoń babki akuszerskiej, rzekł:

— Ja ją dam do ochrzczenia u franciszkanów.

— Zanim ją, panie Rusiecki, ochrzciecie u franciszkanów, trza się zabezpieczyć.

— Jak: zabezpieczyć? Przed czym?

— Przed śmiercią.

Podobno w tym momencie rozdarłam się, jak nie wiem co.

— Śmiercią?! — zawył z rozpaczycy ojciec. — Toż ona silna niczym Goliat! Wrzeszczy, jakby miała w płucach trąby jerychońskie! Nawet i kostuchę ten siorbut przegoni!

Ojciec zatkał sobie uszy palcami, co skutkowało tym, że puścił z uścisku uświęconą dłoń Janowej, co skutkowało tym, że Janowa oddała moją świeżą duszę Panu Jezusowi. I już byłam prawie w całości na świecie. Prawie w całości, mówię, bo jeszcze — jak ojciec przyrzekł — ochrzczono mnie formalnie i sakramentalnie u franciszkanów, w kościele, co go to dopiero wybudowano. I tak się cudnie splotło: moja świeża dusza i świeży kościół, w którym darłam się po swojemu, wypędzając diabła z trzewi. Ale czy ten czort mnie całkiem opuścił, to się dopiero miało okazać. Dano mi na chrzcie świętym dwa imiona: Regina, bo to królewskie, chrześcijańskie miano, i Salomea, po błogosławionej pamięci babce, która siedzi już sobie na kolanach u żydowskiego Jahwe.

MOJE WCZESNE WALKI Z DIABŁEM WCIELONYM

*Ponieważ żem z urodzenia białogłowa,
a wyczekiwana jako męski potomek rodu
przechrztów Rusieckich, kazał mi los
od wczesnego dziecięctwa perswadować,
że jak każda dama mam większą poufałość
w udowadnianiu, iż defekta przynależne
białogłowie nie są dane od czarta.*

Jak pamiętam, to ojciec mój, Joachim, boczył się na mnie od samego początku i gonił mnie do męskich zajęć przy gospodarstwie. A to:

— Regina, idźże wody ze studni przynieść.

— Tak, ojcze.

Posłusznie noszę wodę ze studni do domostwa, a będzie tego cała stągiew. Ręce mi mdleją, ale nic nie mówię.

— Regina, idźże teraz do drewnutni narąbać drewna, bo mróz nocą idzie.

— Tak, ojcze.

Grzecznie idę do drewnutni po siekiere i rąbię pieńki na szczapy. Równiutko, jakby linijkę przyłożył, bo kiedy będzie nierówniutko, to ojciec da po łbie. Ramiona mnie pieką z bólu, ale nic nie mówię.

— Regina, idźże zaorać pole za dnia na oziminę, bo już noc się czai za lasem.

— Tak, ojcze.

Kornie idę po woła, by go zaprzęgnąć w chomąto i zawlec pług na pole. Kroję lemieszem ziemię na skiby z wysiłkiem, już mi tchu nie starcza w płucach, ale się nie skarżę, bo jestem zawzięta w swojej kobiecości, co miała być męskością. I myślę sobie tak:

Czemu to matka moja nie piśnie ani słóweczka, patrząc na moją babską mordęgę, i trzyma głębę na kłódkę? Bo ja przecie powinnam być przy niej w kuchni, warzyć szczawiową zupę z jajem, cerować ojcowską kapotę, wietrzyć pierze w kołdrach, przebierać ziarnka grochu, śpiewać te „Po mano oda”, bo już izraelskich piosnek u nas pod chrześcijańskim dachem nie uświadczysz, chociaż Janowa, co mnie podobno na świat przyjęła, ciągle o nas mówi, żeśmy żydowiny w fałszywych skórach.

Tak sobie w duszy myślę, a tu:

— Regina, idźże do chlewa świnię nakarmić, bo piszczą i kwiczą z głodu.

— Tak, ojcze.

Biorę węgorek z obierkami i idę do chlewa wieprze nakarmić. Wrzucam świńskie żarcie do zagródki, a tu nagle knur do mnie tymi słowy zagaduje:

— Regina?

Oczy mi stają w słup, krew spływa ołowiem do pięt, bo jakże to, żeby knur po ludzku przemawiał. Ale skoro już gada po ludzku, to jakoś trzeba się z tym oswoić.

— Co tam? — odpowiadam.

Świniak chrumka z żalością:

— Ty zrób, coby mnie nie zarznąć.

— A co ja tam mogę — replikuję.

Robi mi się gorąco pod sercem, bo ojciec już zapowiedział świniobicie i jak go znam, będzie mi kazał walnąć obuchem w świński łeb i przebić świńskie serce szpikulcem, bo przecież chciał mieć syna, a nie córkę, a potem powiesimy świńskiego trupa na drabinie, ojciec każe mi upuścić krew do wiadra, będę musiała opalić truchło słomą, schlastać skwierczącą skórę wrzątkiem i wyszczotkować sierść tępym ostrzem. Będę skora uciąć świńską głowę, rozebrać mięso, to się znaczy wyciąć kawałki podgardla, ugotować do miękkości i poporcjować. Potem ojciec każe mi zwołać sąsiadów na poczęstunek, pobiegnę do Joska po gorzałkę. I wnet będę musiała pomóc matce usmażyć świński mózg z jajkiem i zaraz zabrać się do robienia świeżynki, znaczy się kaszanki, pasztetówki, salcesonu i kielbasy. I na sam koniec wykroję karkówkę, łopatkę, schab, słoninę, mostek, biodrówkę, polędwiczkę, szynki, golonkę, nogi oraz ogon. I to ja uczynię, ojciec będzie mi pomagał, ale tylko trochę, bo chyba mu jeszcze izraelskie wspomnienie nie pozwoli ciąć trefnego truchła. Takie tam gadanie. Ubabrać sobie ręce w niekoszerniej krwi, to nie uchodzi, ale mlaskać z zachwyty, jak golonka paruje na talerzu, to uchodzi. Co tu dużo głądzić: oranie pola, noszenie stągwi z wodą, rąbanie drewna,

świniobicie, solenie i dźwiganie mięsa do ziemianki jest na mojej białej głowie, że się uzewnętrżnię.

Tak sobie żałośnie myślę, a knur patrzy na mnie z nienawiścią i kwiczy:

— Jak mnie zabijesz, to ci się w nocy przyśnię.

Co tam — ja na to w duchu. Odwracam się na pięcie i wychodzę z chlewu, ściskając kabłąk wiadra.

Potem było świniobicie, jak to wcześniej opisałam.

Potem przyśnił mi się knur. To znaczy duch knura. Zjawił się w ciemności, pomachał ryjem i gada tymi słowami:

— I co zrobiłaś najlepszego, Regino Rusiecka?

— No co? — odpowiadam i ani trochę się mamidła nie boję.

— Zadźgałaś mnie.

— Taki los.

— Nie mogłaś się wymówić?

— Nie.

— Ty masz ledwie trzynaście lat, Regino.

— I co z tego?

— Dziewczyną jesteś.

— I co z tego? Jak już dziewczyna, to nie może ogłuszyć obuchem?

— W serce mnie szpikulcem dźgnęłaś.

— Tam takie świńskie gadanie.

— Świńskie, mówisz?

— Mówię.

— To ja ci mówię, że skoro nie potrafisz się wykręcić od samczych powinności, to ja cię przeklnę, urok rzucę.

— A ty niby kto, że mnie przeklniesz, urok rzucisz?

— Ja... czart jestem.

I wtedy z przyrodzenia pociekła mi krew i stałam się kobietą. I rozpoczęłam walkę z diabłem, żeby udowodnić, że nie jestem przeklęta.

DIABŁA I PISTOLEM MOŻESZ PRZEGONIC

*I tak oto z opatrności Pana Boga podejmuję
się jako białogłowa zrozumieć, na czym Jego,
Wszechmogącego, ten świat polega, i nadybuję
się na przeszkody znaczne.*

Wiedziałam, że nie przystoi buntować się ojcu, który z braku syna czynił mnie, kobietę — mężczyzną, a ja już stałam się prawie w pełni białogłową. Dowodem były rosnące z tygodnia na tydzień piersi oraz inne zaokrąglenia ciała, owłosienie na bladym łonie i comiesięczne krwawienie menstruacyjne, że o takich intymnościach tu wspomnę. Kochałam mojego ojca, Joachima, chociaż mną pomiatał. Wiedziałam, że czyni afronty z żalości, bo się spodziewał innego potomka niż baby i chętniej by widział moje zgrabne

nogi o bardziej mięsistych łydkach oraz krzaczasto obrosnięte. Powiem szczerze, że nawet od czasu do czasu bawiło mnie bycie imaginowaną hardą postacią, skoro mogłam udowodnić diabłu, że nie dam sobie w kij dmuchać.

To było jakoś na przednówku, kiedy ojciec wysłał mnie do Joskowej karczmy po świecę, bo ich zapas się w składziku kończył. Zrobiłam to chętnie, jako że lubiłam się wyrwać z naszej zagrody i popatrzeć na świat dalej niż na czubek nosa, bo zawsze z tego patrzenia były jakieś przypadki albo awantury. Tak się stało u Joska Buchmana, który miał austerię na rozstajach wiodących w prawo w stronę Korstowa, w lewo ku Nowogródkowi. Przed karczmą ścieliły się płachty zleżalego i zgrulonego śniegu oraz stały w szeregu uwiązane do beli konie. Po parującej wilgocią sierści zorientowałam się, że były zdrożone, a uprzęże i siodła były ruskie. Tu należy się wspomnieć, że nie lubiłam natenczas Moskali, bo ruskie nagabywali od czasu do czasu na naszą okolicę. Wtedy to ja byłam jeszcze głupia i nie wiedziałam, że ruskie zgadały się z Habsburgami i Prusakami w Traktacie Trzech Czarnych Orłów, żeby mącić i robić koło tyłka Rzeczypospolitej oraz Litwie, ale teraz już wiem, bo jestem mądra.

Zatem spluwam pod ruskie kopyta i wchodzę do Joskowej oberży „Pod rogatym jeleniem”. Od razu mnie bije w twarz zatęchła woń wódki, kwaśny odór

piwska i zapach czulentu*. Idę prosto do szynkwasu, za którym sterczy Jasek Buchman i łypie na mnie nieprzyjaznym okiem, bo wiadomo: jestem tą sziksą od przechrztów. Swoją drogą, dobre sobie, że ojciec mnie wysłał do Joska, a sam nie raczy przekroczyć Joskowego progu od kilkunastu років i mnie naraża na impertynencje. Zamawiam dwa tuziny świec, jeden tuzin stołowych, drugi tuzin nocnych, płacę osiemnaście groszów, drogo, i już chcę wyjść z żydowskiej karczmy „Pod rogatym jeleniem”, kiedy czuję na swoim tyłku czyjeś łapsko. Odwracam się i konstatuję, że to ruskie łapsko. Patrzę w mętne oczy Moskala i mówię:

— A ty co?

— *Nu kak czto?* — ten mi na to.

To ja od razu daję mu w pysk, żeby wyjaśnić, o co mi chodzi. Ale nie otwartą dłonią, tylko pięścią. Tak, jakby to sobie umyślił mój ojciec Joachim. Nawet nie pomyślałam, że za stołem przy czulencie, gorzale, piwie i jajecznicy siedzą kompani tego Moskala, co mnie za tyłek macnął. Nawet nie pomyślałam, że za paskiem Moskal ma wetknięty pistol. I jak zaraz wyjmie ten pistol, to mi kulkę w łeb wystrzeli. Ale nie, nic takiego się nie dzieje. Moskal zatacza się od mojej pięści i znika z rumorem pod stołem. To ja sobie myślę, że zaraz reszta ruskiej swołoczy powymjuje zza pasków

* Tradycyjna potrawa gulaszowa kuchni żydowskiej.

pistole i podziurawi mnie ołowiem na sito. Ale nie. Moskale zaczynają rechotać:

— *Witia, wstawaj i nie igraj w miertwieca!*

Ten, co udaje trupa pod stołem — zmartwychwstaje, wygrzebuje się jak z tomby i już reszta Moskali przestaje rechotać, acz ten, co już nie jest trupem, wyciąga pistol zza paska. Widzę kątem oka, że Josek rzuca się zza szynkwasu w naszą stronę z wyciągniętymi ramionami, jak gałęziami, niczym ta sosna, co stoi za naszym płotem, ale czuję, że chyba jest za późno, bo ten, co udawał trupa pod stołem, odwodzi kurek, już mu się zaciska paluch na cynglu, już zaraz usłyszę huk i ołowiana kulka zakończy moje babskie deliberacje o Bożym świecie. Aż tu nagle, nie wiadomo z jakiej przyczyny, pistol wypada z ruskiego łapska. To ja się schylam po pistol i myślę, że chyba sam Pan Bóg Jedy-ny i Wszechmogący mi taki gratis sprawił. Teraz to ja zaciskam palec na cynglu, mierzę w ruski łeb i mówię:

— Ani mi się rusz, diable wcielony.

Tak powiedziałam. Sama nie wiem, dlaczego tak powiedziałam o tym diable. I jeszcze pomachałam lufą do kompanów tego, co przed chwilą trupa udawał pod stołem, i tak mi się z ust wyrwało:

— Do was też mówię, kurwysyny. Siedzieć na dupach i już.

Cofam się do drzwi Joskowej karczmy, już mam przekroczyć próg, a tu Josek jeszcze krzyczy:

— *Salcia! Imen hszm!* Ty świece zapomniała!

Podchodzę do szynkwasu nieostrożnie, ale pistol trzymam czujnie. Zabieram świece, rzekłszy przez zęby:

— Na drugie mam Salomea, pierwsze mi Regina. Jak królowa, panie Buchman.

I wychodzę, dzierżąc pistol w dłoni.

DIABŁA I ROZUMEM MOŻESZ PRZEGONIC

*Tom słyszała, że niejeden święty czarta
rozumem przegonił, nie tylko modlitwą i postem,
i obrostem brody oraz włosów, i chodzeniem
boso we mrozie. A żem białogłowa,
to wiadomym, że broda mi nie rośnie,
ale rozum może i owszem.*

Zrobiło się nieogłędnie z powodu tej awantury z Moskalami i z powodu owego pistola, co go zdobyłam w walce z ruskim łajdakiem. Tak się zrobiło, że tenże przejezdny oddział moskiewskiej swołoczy zawitał pod nasze domostwo, żeby się ze mną rozprawić, ale ich, kurwysynów, ojciec psem poszczuła i poszli sobie żołądacy precz, i pistola nie oddałam, chociaż ojciec zrobił mi nikczemną burę, że się wdaję w potyczki z mężczyznami, i chciał mi odebrać pistol. Ale ja jemu na to takimi słowy odparłam:

— Nie oddam ci, ojczy, tego, co zdobyłam w walce.

— Napytasz sobie biedy, Regina, oj napytasz.

Założyłam ramię na ramię, by sobie dodać odwagi — jak to robią baby na samowolnym targu obok dominikanów, kiedy straż grodzka chce je przegnać — i rzekłam twardo:

— Chciałeś, ojciec, mieć syna?

— No... no... no... — zadukał ojciec.

Nie czekałam na odpowiedź.

— To teraz przymknij oczy i wyimaginuj sobie, że nie noszę kiecki, nie sięgam ci do ramienia i warkocza nie mam na plecach, a stoi przed tobą drab, który w sprawiedliwej bitce zdobył pistol.

Ojciec wcale nie przymknął oczu, a zmarszczył krzaczaste brwi i ozwał się burkliwie:

— Gdzie pistol ukryłaś?

— Nie powiem. — Ciśniej i bezpieczniej założyłam ramiona na piersiach. Przez chwilę żałowałam, że mi cycki sterczą, ale tylko przez chwilę żałowałam. Patrzyłam hardo w oczy mojemu rodzicielowi i miałam wrażenie, że mu w tych oczach coś mięknie. Milczał, odwrócił się do matki. Przez jego kamienną twarz przepłynął cień grymasu. Spod powiek wypłynęła w stronę żony jakby fala, prośba o pomoc czy coś, ale matka milczała.

Pomyślałam sobie wtedy:

Matka milczy i tym milczeniem chce się buntować, nie chce wspomóc ojca, któremu gniew rozplywa się

po twarzy. A może nie — może matka milczy, bo milczy wiecznym milczeniem swoim, bo to milczenie jest zgodą na babski los, a może jest zbroją, w której ukryła się niemoc, bezsiła, której ja nie chcę być uległą za nic w świecie. Nie chcę być jak ona: ze spuszczoną głową, chcę — kiedy zajdzie taka potrzeba — wyjąć ruski pistolet spod powały w komórcie, chcę zdobyć proch i ołowiane kule. Chcę tym pistolem grozić napastnikom, bronić cnoty i świat zdobywać.

Wtedy przyszło mi do młodej głowy, że ta głowa jest pusta, aż w niej huczy. Bo reszta mi się u mnie podoba. Mam krzepkie ręce, mocne pięści, którymi ruskiego żołdaka potrafię zwalić pod stół, mam wąską kibić, za którą się oglądają nie tylko chłopci, ale i panowie szlachta, a nawet, jak raz było, i pewien hetman, co przejeżdżał w powozie gościńcem do naszego Nowogródka, się za mną oglądnał. No, ale ta głowa! Z tą głową należy coś zrobić, a pistolet niech sobie skrycie spoczywa pod powałą w komórcie i czeka na jaką awanturę.

U nas w Nowogródku jest dużo kościołów, bo ludzie są bardzo za Panem Bogiem. I jak są za Panem Bogiem, to mogą modlić się do Wszechmogącego, gdzie im tam parafia przynależy. Dużo obok kościołów jest też i klasztorów. A to jest klasztor jezuitów, jest i klasztor bonifratrów, i monastyr bazylianek unickich, i unickich bazylianów, no i franciszkanów, gdzie byłam

chrzczona. Jest też cerkiew, tatarski meczet, bóżnica i cztery drewniane domy modlitewne, i aż sześć murowanych bejt ha-midrasz* . Więc jak kto chce, może się do swojego Pana Boga pomodlić i co tam jeszcze uprosić u Najwyższego. Ja posiadałam już w sercu Pana Jezusa, ale powiem szczerze, że jak mijałam jeden z tych modlitewnych domów, albo Synagogę Zimną, z której dochodziło jednostajne zawodzenie rabina, to mnie coś ścisnęło w piersiach. No ale los widocznie tak chciał, żebym już nie była żydówką, tylko po chrześcijańsku miałam się krzyżem żegnać. Lecz ja nie o żegnaniu się krzyżem chcę tu nadmienić, a o czym innym. O głowie. Co prawda, jak się człowiek chrześcijański żegna krzyżem, to zaczyna od czoła i gada „w imię Ojca”, ale to jest sprawa wiary, że tak powiem, a mnie chodziło o wiedzę. Ażeby do wiedzy się dopchać, to trzeba pójść do szkoły. U nas w Nowogródku szkoła była u dominikanów. Zatem poszłam do dominikanów.

— Ty, Rusiecka — mówi do mnie ojciec bakałarz — nie wiesz, że szkoła jest dla chłopców?

— Wiem — odpowiadam czelnie i dodaję mądrze, żeby udowodnić, że mądre słowa mi gładko z gardła wychodzą: — Ale można zrobić *exceptio*** .

* Synagoga z pomieszczeniem na studiowanie Talmudu.

** (łac.) wyjątek.